1923 r. CZERWIEC № 11.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

DWUTYGODNIK ŁOWIECKI POD REDAKCJĄ JULJANA EJSMONDA



KALENDARZ MYŚLIWSKI

W czerwcu wolno polować na rogacze, cietrzewie, kaczory.

Redakcja Warszawa, Szpitalna 1 m. 1. Administracja: Szpitalna 12. Redaktor przyjmuje we wtorki od godz. 4 i pół do 5 po poł.



Wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej.

III. Łowy na tygrysy.

Latem 1890 r. miałem poruczone zbadanie i opisanie pasma gór Aleksandrowskich oddzielających Ferganę z północy od obwodu siedmiorzecza. Góry te na zboczach południowych (od strony Fergany) pokryte są wspaniałemi liściastemi lasami, dającemi przytułek najrozmaitszym zwierzętom. Spotykałem tam dęby a szczególniej orzechy włoskie tak olbrzymiej wielkości, że z trudem mogłoby je objąć dziesięciu ludzi. Na konarach takich drzew powiązane były liczne różnokolorowe gałązeczki-fetysze oznaczające, że dane drzewo jest święte i chroniące je tem samem przed zniszczeniem i uszkodzeniami, do których tak skłonni są krajowcy.

Szliśmy w górę rzeki Kawek (cieśnina), dążąc w strefę alpejskich łąk gdzie spędzały lato auły jednego z rodów kara-kipczaków ze swemi stadami. Upał był szalony. Konie ciężko dysząc wspinały się z trudem po stromej górskiej ścieżce. Przeszliśmy już około 30 kilometrów. Czując się bardzo zmęczony, postanowiłem zatrzymać się na popas w pierwszym dogodnym miejscu.

Wkrótce dolina się rozszerzyła. Do rzeczki Kawak z prawej strony wpadał jakiś górski strumień, biegnący przez gęste zarośla dzikich migdałów. Przy ujściu znajdowała się obszerna polana, pełna soczystej świeżej trawy. Zatrzymawszy się, rozesłałem burkę kaukaską na samym brzegu strumyka i wziąwszy pod głowę poduszkę z siodła kozaczego jakie przeważnie używałem przy rozjazdach w górach, z rozkoszą wyciągnąłem się na burce.

Ludzie moi gotowali wodę na herbatę i przygotowywali śniadanie, a ja zdrzemnąłem się nieco, zwrócony twarzą w stronę wody.

Nagle ocknąłem się pod wpływem jakiejś dziwnej magnetycznej siły. Na piasku przeciwległego brzegu strumienia, szerokości 25—30 kroków, z gąszcza wysunął się ogromny tygrys. Położył łapy na wilgotnym piasku, oparł na nich mordę i przenikliwie wpatrywał się we mnie. Struchlałem, nie wiedząc co robić i nie spuszczając oczu z tygrysa. Po chwili, która dla mnie wydała się wiecznością, głowa tygrysa oddzieliła się od łap i patrząc ciągle uparcie na mnie, powoli cofnęła się w gęstwiny. Zerwałem się na równe nogi chwytając za broń, która stała o parę kroków przystawiona do drzewa. Na krzyk mój przybiegli ludzie, dając kilka strzałów w stronę gąszczy, gdzie skrył się tygrys. Potem przeszliśmy strumień. Na wilgotnym piasku wyraźnie rozpoznaliśmy świeżutkie ślady łap i pazurów tygrysich.

Dla charakterystyki obyczajów tygrysich muszę dodać, że zdarzenie to miało miejsce w jasny słoneczny dzień i że będąc w urzędowym objeździe wojowniczych i jeszcze nieuspokojonych górskich plemion kara-kipczaków, miałem ze sobą dziesięciu milicjantów, przedstawicieli rodów miejscowych kipczaków, oraz parę luźnych i jucznych koni, razem 18—20 ludzi i do 25 koni. Wszystko to na niewielkiej łące o jakie 180—200 kroków od miejsca gdzie leżałem.

Drugi wypadek był w innym rodzaju i nie powiem żeby pozostawił po sobie miłe wspomnienie.

W tymże roku, spełniając w dalszym ciągu poruczone mi zadanie posuwałem się w górę rzeki Kuk-art. jednego z większych dopływów Syrt Darji, ku przełęczom Kuk-Art (zielona przełęcz) i Sujak. Zbadałem już prawie połowę rzeki, będąc o jakichś 100 kilometrów od ujścia jej do Kara-Darji. Upał był niedowytrzymania. Szliśmy szeroką doliną zupełnie zarosłą dębowym i orzechowym lasem z gęstym poszyciem, nie przepuszczającem żadnego podmuchu wiatru. Przeszliśmy jakieś opuszczone kirgizkie osiedle, składające się z kilkunastu glinianych domków i pola kukurydzy. Naraz wyłoniła się obszerna polana porosła trawą do pasa, a na niej olbrzymi orzech nad źródłem krynicznej wody. Idealne miejsce dla postoju. Zatrzymałem się więc i kazałem rozbić namioty. Odpocząwszy i przyprowadziwszy do porządku zdjęcia topograficzne i notatki, skorzystałem z tego że upał się zmniejszył, wziąłem strzelbę i poszedłem się przejść. Na polach kukurydzy krzątał się jakiś kirgiz, pracując łopatą nad przeprowadzeniem wody na pole—podszedłem bliżej. Kirgiz widocznie był chory, wyczerpany malarją. Zapytałem jak się ta miejscowość nazywa i co on tu robi sam jeden. Odpowiedział że miejscowość nosi nazwę Czuł-barsny juły (tygrysia droga), a on odbywa kolejną dwutygodniową służbę, przysłany przez auł do polewania pól kukurydzy. W toku rozmowy wyjaśniło się, że miejscowość ta jest stale nawiedzana przez tygrysy, gdyż tu jest węzeł dróg wiodących na rzekę Zili do Kuldży i do Siedmiorzecza, skąd całe lato handlarze pędzą stada baranów dla mieszkańców Fergany, że stada te stale są atakowane przez tygrysy, które wskutek tego są bardzo śmiałe nie boją się ludzi i że on mieszka w glinianej lepiance bez drzwi i okien. Spuszcza się do siebie przez otwór w dachu i wychodzi dla przeprowadzenia wody z rzeki na pola tylko po południu w czasie upału i to na parę godzin, kiedy zwierzęta odpoczywają nie żerując, a całe dnie i noce spędza po ciemku w chatce z obawy przed tygrysami.

Poszedłem obejrzeć jego lepiankę. Rzeczywiście, miała tylko otwór w dachu, który szczelnie przykrywany był płaskim piaskowcem z żelaznem kółkiem. Przez kółko przewleczony był mocny sznur. Spuściwszy się na dół lokator tego oryginalnego mieszkania zaciągał kamień na otwór a powrozem przymocowywał go do mocnego koła wbitego głęboko w glinę podłogi. W ten sposób, bezbronny człowiek chronił się od dzikich zwierząt. Na dachu z grubych belek, przyciśniętych kamieniami przysypanemi ziemią, widać było liczne ślady drapieżników, które czuły łatwą zdobycz, ale dostać się do niej nie mogły. W końcu kirgiz radził mi przenieść obozowisko o kilka kilometrów dalej, gdzie kończą się lasy i tam zanocować na otwartej łące, gdyż tygrysy w nocy napewno nas zaatakują i jeżeli konie się rozbiegną, to niejeden stanie się ich łupem.

Spojrzałem na słońce, stojące już dosyć nisko: przenosić obóz na nowy nocleg było zapóźno. Zresztą wstyd mi było ruszyć się w miejsca, gdyż ucieczka przed domniemanym napadem tygrysów rozniosła by się między kirgizami i podérwałaby mój prestige.

Wróciłem jednak zaraz do obozu i w duszy robiłem sobie wymówki za nieopatrzny wybór miejsca. Polana na której rozłożyliśmy się obozem, wydała mi się znacznie mniejszą niż w południe, w pełnym słońcu. Las i gęstwiny naciskały ją zwartem kołem, powiększając grozę.

Posłałem wszystkich ludzi na zbieranie suchych gałęzi, których w najbliższych gąszczach była cała moc. Do zmroku zebrali całe stosy paliwa. Przywiązaliśmy konie do mocno wbitych w ziemię kołków, zapaliliśmy ognie i naznaczywszy dyżury dla podtrzymania ognia, po wieczerzy poszliśmy spać.

Czy długo spałem — nie wiem, pewno jednak z parę godzin, bo przez sen czułem, że mi ręka na niewygodnem polowem łóżku zdrętwiała. Nagle usłyszałem wściekły ryk. Miałem wrażenie, że tygrys wsunął głowę do mego namiotu i ryknął nad samym uchem. Zerwałem się na równe nogi i schwyciwszy przygotowaną z wieczora strzelbę, w bieliźnie, bosy wyskoczyłem z namiotu, kłując się boleśnie rosnącemi wszędzie ciernio-wemi krzakami. Było zupełnie ciemno. Ogień dogasał. Dyżurny widocznie zasnął i przestał go podsycać. Ludzie zerwali się i zaczęli uspokajać konie, które stawały dęba, starając się zerwać z uwięzi. Nagle z boku rozległ się ryk jeszcze bliższy i groźniejszy, powtórzony stokrotnie przez echo. Wtórował mu inny ryk z drugiej strony. Począł się koncert tygrysi na rozmaite głosy. Niemogąc przemódz zdenerwowania dałem ognia w stronę najbliższego ryku. Za mną poczęli strzelać konwojujący mnie dżygici, milicjanci uzbrojeni w kawaleryjskie berdanki. Buchnął jasny ogień, zwiększający nieprzejrzaną ciemność otaczających nas gąszczy. Pomimo tego i mimo strzałów dżygitów, które wstrząsały spokojną puszczą koncert nie ustawał i trzeba było nadzwyczajnych wysiłków, żeby uspokoić i utrzymać konie, które wciąż starały się zerwać z uwięzi. O śnie nie było mowy. Siedzieliśmy przy ogniach, mimowoli wpatrując się w czarną gęstwinę, czy się nie wyłoni szeroka paszcza z iskrzącemi jak gwiazdy ślepiami. Nareszcie poczęło świtać. Kazałem zwijać namioty i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę gęstego, po wąskiej górskiej ścieżce pewien czas nie mogąc przyjść do siebie z nadmiaru wrażeń straszliwej nocy.

Innym razem ujrzałem coś, co rzadko udaje się widzieć myśliwemu Afryki i Ameryki Południowej.

Było to także na zboczach pasma gór Aleksandrowskich. Śpieszyłem na śledztwo z powodu zabójstwa kirgiza w aułach spędzających lato w strefie łąk alpejskich.

Zmęczony długim przejazdem konno przez góry w straszliwie upalny dzień, zanocowałem w jednym aułu, który przekoczowywał tam strefę łąk alpejskich, i zatrzymał się na kilkodniowy wypoczynek na otwartem polu o $\frac{1}{2}$ kilometra od urwistego brzegu jednego z dopływów rzeki Kuk-art. Noc była niezwykle duszna. Szczekanie psów, pilnujących stada, ryk cieląt oddzielonych od matek nie dawały chwili spokoju. Kręciłem się na polowym łóżku, mokry od potu, w końcu wziąłem dywanik, którym było łóżko nakryte i poszedłem w stronę rzeki, szukając ochłody. Jak mówiłem, rzeka biegła w głębokim 10 m. jarze szerokości z stromym prawym brzegiem, na którym stałem. Dno było gęsto porosłe lasem i krzakami. Od wody płynęła świeżość. Rzuciłem dywanik i z przyjemnością położyłem się na samym brzegu urwiska. Noc była księżycowa, a tak jasna, jak rzadko bywa nawet w tamtejszych stronach. Świat zdawał się krainą z bajki. Nagle usłyszałem dość głośne chrząkanie. Podniosłem głowę i ujrzałem widok następujący: z gąszczy przeciwległego brzegu, wybiegły dwa warchlaki a potem jeszcze trzy, a za nimi ukazała się maciora. Raz podchodziła ku wodzie, jakby namawiając warchlaki do przeprawy na moją stronę rzeki, to znów cofała się, jakby stając w obronie przed niewidzialnym wrogiem. W tej chwili z gąszczy po tamtej stronie rzeki wyskoczył tygrys, starając się stado dzików odpędzić od wody. Maciora i dwa warchlaki gwałtownie rzuciły się do wody i walcząc z prądem wartkiej górskiej rzeki popłynęły ku mnie; trzy zaś warchlaki rzuciły się w gąszcza, z których za chwilę wypadły gonione przez dwa młode tygrysięta. Rozpoczęła się praktyczna lekcja, jak zdobywać sobie pożywienie. Młode bały się napaść na dość duże już warchlaki, więc stary tygrys, (prawdopodobnie matka) jednym skokiem dopędzał prosiaka, uderzeniem łapy ogłuszał go, ale nie zabijał i głucho warcząc, zachęcał do walki młode, które rzucały się wspólnie na kwiczące w niebogłosy prosięta i wydzierały im wnętrzności. Matka tymczasem pędziła za drugim i w kilka minut wszystkie trzy były zamordowane. Z zamierającym sercem patrzyłem na tę krwawą lekcję walki o byt. Potem zaś pobiegłem do aułu po broń i ludzi,

gdyż ze sobą miałem tylko śrótówkę i przybiegłem z nimi na brzeg rzeki, konwojowany przez całą sforę wściekle ujadających owczarków. Na brzegu leżały już tylko szczątki porwanych prosiaków.

Kirgizi, którzy także przybiegli na brzeg rzeki z a łu, opowiadali mi, że jest dla nich wielkim nieszczęściem mieć w pobliżu postoju rodzinę tygrysią, gdyż matka naprowadza młode na żerujące stada baranów i ucząc je napadać, czasami w ½ godziny zabije 20—30 sztuk baranów, a uniesie ze sobą tylko jednego.

Wogóle noc ta wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Na urwistym brzegu czułem się jakby w loży cyrku Nerona i tylko poczucie sprawiedliwości zmusiło mię porzucić nigdy niewidziane widowisko i biedz po broń i po ludzi.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

(D. c. n.)

Ku indyjskiej rubieży.

(*Ciąg dalszy*)

II. Snieżna pantera.

Stary tadżik z twarzą pomarszczoną, jak pieczone jabłko, ale otwartą i szczerą, okoloną rzadkim siwym zarostem, aryjczyk czystej krwi, chociaż o smagłej cerze, siedział godnie za stołem i pił z lubością dobrą herbatę z rumem, podnosząc do ust spodek, napełniony bursztynowym płynem.

Mówił wolno, jak człowiek, któremu się nigdy nie śpieszy, a który, niezależny od okoliczności, sam dzierży we własnem ręku wszystkie nici swych myśli i czynów.

Znał góry wkoło, jak nikt inny. Setki kilometrów przebiegał stromą percią, dostępną tylko dla wtajemniczonych i dzielnych. Nie było mu obce ani jedno źródło ukryte wśród skał, znał zarówno tajniki błękitnych lodowców na szczytach Piotra Wielkiego i stumetrowe kaskady spienionych potoków w głębi Darwazu, jak i nieprzebyte dżungle Urta-tugaju i stare, opuszczone przez górników kopalnie rubinów w afgańskim Badachanie.

W słowach prostych, jak całe jego bytowanie, opowiadał o samotnych wędrówkach na podniebne wierzchołki, ponad siwe zwały mgieł, pełzających w dolinach, niby skłębione potwory, o spotkaniach z upragnioną zwierzyną gdzieś na niedostępnej turni, lub na ćwierć metrowej krawędzi górskiej, zawieszonej nad bezdenną przepaścią.

To znowu niby barwna wstęga przewijała się przed naszemi oczami krwawa rozprawa z okrutnym drapieżcą, panem dżungli, gdzieś w głębi trzcin nadrzecznych. Nie jednego pręgowanego potwora zwaliła pewna kula z wypróbowanej ruszn[i]cy, albo i szybkie jak błyskawica uderzenie ostrego afgańskiego miecza...

Zaproszony przez Bilkiewicza na przewodnika w góry, zgodził się chętnie towarzyszyć nam i pokazać najpewniejsze, ulubione przez zwierzynę miejsca.

Wyprawiwszy cały obóz pod dowództwem wachmistrza Kościuka do następnego posterunku Chirmindżau, leżącego nad brzegiem Piandżu, ruszyliśmy w góry w pięciu z Siergiejem, Bazylem i Waśką, prowadzącym jucznego osła, kupionego w Diwdar-Bole, a naładowanego zapasami jedzenia i najpotrzebniejszemi przedmiotami, tudzież cieplejszą odzieżą.

Przewodniczył nam Hassan, stary tadżik i poprowadził w góry prosto na wschód. Wązką, ledwo znaczną ścieżką wspinaliśmy się na strome zbocza, to znów spuszczaliśmy się w niższe doliny i szumiące potokami górskie gardziele. W odległości 20 km. od punktu wyjścia założyliśmy podług wskazówek Hassana obozowisko, dotarłszy do miejsc, najbardziej obfitujących w kozirożce krętorogie. Znajdowaliśmy się teraz w obszernych rozgałęzieniach zachodniego końca głównego grzbietu Darwazkiego, ciągnącego się dalej na wschód aż do granic Pamiru. Okolica była nad wyraz dzika i pełna złowrogiego uroku. Spotykane co krok potoki górskie tworzyły wspaniałe wodospady, okrywając wilgocią sąsiednie skały i nadając im charakterystyczny ciemny koloryt. Na wyższych szczytach leżały wieczne śniegi, świecąc cudnemi barwami o wschodzie i zachodzie słońca.

Chodzenie było bardzo uciążliwe, a często nawet najmniej podobne do tego pospolitego ruchu nóg. Trzeba było bowiem drapać się na czworakach, czepiając się rękami za wystające odłamy skał, lub prześlizgiwać się jak węże nad krawędzią przepaści.

Bazyl cierpiał na zawroty głowy, zostawał więc wraz z Waśką w obozie, nie będąc w stanie odbywać karkołomnych przepraw.

Ponieważ uznawaliśmy za bezporównania celowsze i praktyczniejsze pod względem łowieckim nie trzymać się we czterech razem, więc

*) Urywek z powieści, która ukaże się w roku bieżącym nakładem Księgarni Ś-go Wojciecha w Poznaniu.

zwykle rozdzielaliśmy się na dwie grupy: Bilkiewicz chodził z Hassanem, a ja z Sergiejem. Orjentując się naogół dobrze w górach i idąc przytem za wskazówkami starego myśliwca, zaznajomiłem się w przeciągu paru dni z fotografją całej okolicy i zapuszczałem się coraz głębiej na wschód i północo-wschod w przepastną krainę turni.

Któregoś dnia wybrałem się sam. Po dziesięciu dniach zajadłych polowań postanowiłem trochę czasu poświęcić pracy przyrodniczej. Chodziło o złapanie rzadkich motyli, trzymających się tuż pod granicą wiecznego śniegu. Zaopatrzony w siatkę i puszkę udałem się więc na łowy, wierny jednak mauser wisiał na ramieniu, gotowy każdej chwili do spotkania z grubszą niż motyle zwierzyną.

Nie śpiesząc, piąłem się na znany mi już dobrze grzbiet, naprzód przez las jodłowy, potem wyżej ku przełęczy, a dalej na lewo pomiędzy ostre turnie i zrzadka między niemi rozsiane placyki murawy, porośnięte wonnemi ziołami i kwiatami.

Po południu, kolo godziny czwartej znajdowałem się na północnym stoku, nad samą krawędzią stromego zbocza. Leżąc na brzuchu, oparty na łokciach, odpoczywałem, patrząc w dół to na bliższe złomy skalne i wyryte przez wiosenne wody żleby, to na głęboki w dole krajobraz, widoczny stąd, niby olbrzymia mapa. Lekki powiew niósł z doliny nagrzane przez słońce fale powietrzne, pełne aromatu ziół górskich, a daleko przedemną błyszczał w słońcu oślepiającemi lodowcami grzbiet gór Piotra Wielkiego.

Miałem w puszce spory zapas motyli, między innemi kilka poszukiwanych rzadkich gatunków, nie śpieszyło mi się nigdzie, nocleg w górach nie przerażał mię bynajmniej, gdyż miałem przytroczoną na plecach kołdrę i zapasy żywnościowe w dostatecznej ilości. O dwa kilometry dalej wypływało ze skał źródło, gdzie mogłem ugasić pragnienie chłodną jak lód, kryształowoczystą wodą.

I oto raptem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ukazało się w dole stadko koziorożców syberyjskich. Szły jeden za drugim po zboczu skalnem, kiwając poważnie brodatemi głowami, na przedzie wielki kozioł z dużemi, zagiętemi w tył, mocno karbowanymi rogami, za nim drugi mniejszy i trzy kozy z małemi. Niekiedy z pod kopyt zrywał się kamień i leciał w dół, stukając po skałach i ginąc gdzieś w ciemnej otchłani lasu.

Mijając osypisko, wyszły na gzems i posuwały się wolno, skubiąc gdzieniegdzie trawę. To znów spoglądając nieruchomo w dół. Były w odległości mniej więcej 700 metrów i zbliżały się powoli na ukos. Według mego przypuszczania musiały przejść podemną w odległości najwyżej 150 metrów, zatem na dobry strzał i w wyobraźni widziałem już pięknego samca, staczającego się po moim strzale w dół po kamieniach.

Wtem uwagę moją zwrócił jakiś nieznaczny ruch między dużemi złomami skał, znajdującemi się na drodze koziorożców. Zwróciłem tam lornetę i dojrzałem duże siwe zwierzę, przypłaszczone na skale. Kępy wysokich traw, rosnących na zwietrzałym wierzchołku, przesłaniały nieco widok, lecz poznałem odrazu, że zwierz należy do rodziny kotów. Spłaszczona głowa, zwrócona ku zbliżającemu się łupowi, zdawała się węszyć i ledwo wystawała z poza złomu kamienia, długie cielsko leżało, jak bezwładna szmata, a jednak znać w niem było naprężenie potężnych muskułów, gotowych do skoku. Koniec długiego ogona zataczał małe nerwowe kręgi i cały żywy organizm drgał, zda się, od wewnętrznych impulsów.

Niebawem nieprzypuszczające niebezpieczeństwa koziorożce znalazły się u stóp skały, mogącej mieć ze 3 metry wysokości. Śledziłem z niecierpliwością przebieg wypadków, jakgdybym się znajdował w loży cyrku hiszpańskiego.

Niby puszczone w ruch stalowe sprężyny, rozkurczyły się muskuły i ogromny zwierz runął z góry, jak piorun, na upatrzoną ofiarę. Czy omylił się jednak w obliczeniu, czy też tknięta instynktem koza rzuciła się raptem w bok, dość że skok chybił, a stado w mgnieniu oka pomknęło, jak wicher. Rabuś nie dał jednak za wygranę, paru olbrzymimi susami dopędził młode koźlątko, które na swych krótkich nóżkach nie mogło sprostać rodzicom, i zwalił je jednem uderzeniem łapy, a chwyciwszy w paszczę, niósł ku górze.

Dźwigając z łatwością niewielki łup, zwisający bezwładnie po obu stronach okrwawionej paszczęki, sadził wielkimi susami, zbliżając się do mnie na ukos.

Koniec karabina, znaczony czarnym, zabójczym otworkiem był oddawna skierowany w stronę oczekiwanych gości. Ruchy jednak zwierzęcia były tak ostre i niespodziane, że oparty niewygodnie na łokciach, starałem się daremnie schwytać je na cel. Sto metrów, osiemdziesiąt,—zwierz mija już mnie i zaraz zacznie się oddalać.

Postanowiłem więc spróbować fortelu, używanego z powodzeniem na łowach europejskich. Włożywszy dwa palce w usta, gwizdnąłem przeraźliwie, jak ulicznik. Zwierz zatrzymał się nagle i stanął w pozie skamieniałej, zwracając głowę w stronę dziwnego dźwięku. Jedna chwila—muszka oparła się o łopatkę—pociągnąłem za cyngiel przedtem, nim zwierz się opamiętał i rzucił do ucieczki.

Kula trafiła dobrze: kot skręcił się nagle w kółko, wypuścił łup z paszczy i, drgając kurczowo, obsunął się w dół po pochyłości, zatrzymując się o kilka metrów poniżej na nierówności gruntu.

Opuściłem wyleżane w ciepłej trawie miejsce i, obchodząc bokiem, zbliżyłem się po osypisku do zabitej sztuki.

Był to tak zwany irbis, czyli lampart śnieżny, mieszkaniec wysokich stref górskich środkowej Azji. Barwy jasnej, brudno-płowej w nieco ciemniejsze centki i kółka, z kształtu kot typowy, był dość nizki na nogach, ale długi na 2 metry, ogon miał puszysty, gruby, w ciemne obrączki, długości 1,4 metra. Mała, okrągła, spłaszczona u góry głowa z potężnemi, muskułami szczękowe-

mi, zdobna była w długie białe wąsy i duże niebieskie oczy, nadające pewien naiwny i bynajmniej nie krwiożerczy wyraz. I rzeczywiście drapieżnik ten jest zwierzęciem stosunkowo bardzo łagodnem. Zmuszony zabijać, niejako z fachu swego, unika jednak zawsze niepotrzebnego morderstwa, czego powiedzieć nie można o innych kotach.

Ciekawe to zwierzę, którego obyczaje w stanie dzikim są bardzo mało zbadane, odznacza się tem, że tak samo, jak puma południowo-amerykańska, czuje dziwną sympatję do człowieka. Nie tylko że nigdy nie zrobi nic złego zabłąkanemu w górach dziecku, ale, jeżeli nieczuje strachu, to zbliża się z oznakami największej przyjaźni, wywraca się na grzbiet, jak kot, i mruczy z zadowolenia.

Zamieszkuje przeważnie cały grzbiet Himalajów i południowy Tybet, ale zachodzi, wędrując górami, aż do Kopet-Dagu z jednej strony, a gór Ałtajskich—z drugiej. Najpiekniejsze okazy, prawie białe o jasnych, mieniących się popielato centkach pochodzą z wysokich szczytów Himalajskich, gdzie spotkać je można, polując na kozły, nawet na wysokościach 6000 metrów.

W półtorej godziny później ze skórą zwinięta w szczelny pakunek i 20 funtowem koźlęciem na plecach wracałem ciężkim krokiem ku obozowisku.

Nie dochodząc przełęczy spotkałem po raz pierwszy w tych stronach piękną skrzydlatą zwierzynę — indyki górskie. Trzy sztuki zerwały się daleko przedemną, furkocącym lotem ominęły mię szerokim łukiem i przepadły gdzieś między skałami daleko po za mną.

Późnym już wieczorem docierałem do świecących zdala ognisk obozowych z cennym łupem, który natychmiast oddałem Siergiejowi do spreparowania.

Od tego dnia fortuna, odwrócona dotychczas odemnie w krainie mrocznego Darwazu, uchyliła swej zasłony, sypiąc codziennie czarowne uśmiechy, to w formie pięknych, estetycznych wrażeń, to niespodziewanych spotkań łowieckich.

Włodzimierz Korsak.

Ku zjednoczeniu myśliwych polskich.*)

Sprawa zjednoczenia wszystkich wysiłków, zdążających do naprawy opłakanych naszych stosunków łowieckich, robić zaczyna w ostatnich czasach pewne postępy.

Powstała myśl stworzenia centralnego związku towarzystw łowieckich*) oraz projekt powiatowych komisji myśliwskich.

Kto był inicjatorem owego projektu? Jak nas informują, inicjatorem powyższego projektu był dyrektor Stanisław Gaczeński, który zabrał się do pracy w tym duchu natychmiast po objęciu referatu łowieckiego w Dep. Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

Z projektem stworzenia centrali dyr. Gaczeński zwrócił się do Komisji Łowieckiej Polskiego Tow. Łowieckiego, które wspólnie z nim opracowało statut.

W „Gazecie Porannej 2 Grosze“ z 8.X.21 r. znajdujemy programowy artykuł p. St. Gaczeńskiego „Łowiectwo w Polsce“, w którym między innemi czytamy:

„Kraj nasz jak rzadko który posiada nad wyraz dogodne warunki dla zwierzyny. W zachodniej części wysoka kultura rolna sprzyja hodowli zająca i kuropatwy, mazowieckie gaje przeplatane łanami zbóż i łąk, to siedziba naturalna poczciwej naszej sarny i bażanta; ku wschodowi wielkie obszary leśne poprzerzynane mnóstwem rzek i strumieni—ojczyzna jelenia, cietrzewia i głuszca, przechodząc zwolna w bezkresne bagna Polesia tworzą prawdziwy raj dla ptactwa wodnego, łosia i bobra. A zbocza Karpat z całą swą przebogatą fauną i florą? Tereny te wymarzone dla wszelkiego rodzaju zwierzyny.

Tymczasem sprawa łowiecka w Polsce nie jest uporządkowana. Niema ogólnej dla wszystkich dzielnic ustawy łowieckiej, niema odpowiednich przepisów, a jeżeli są to wadliwe, chaotyczne i nie są wykonywane, zwierzostan naogół wyniszczony, szczególnie w ostatnich czasach; hodowla pożytecznej zwierzyny w zaniku, przemysł łowiecki nie istnieje.

Z drugiej strony ubiegłe lata wojny sprzyjały rozwojowi różnych szkodników: namnożyło się po lasach naszych lisów, miejscami dzików, we wschodnich województwach nawet wilków. Okupanci pozostawili łowiectwu naszemu w spadku samych szkodników, zaczynając od liszki często gęsto parszywej, a kończąc na karabinie dla kłusownika i drucie dla wnykarza — a leśnictwu naszemu dewastacje drzewostanów i kornika.

Mamyż jeszcze sami dodać do tego lenistwo, niedbalstwo i niezaradność? Tak dalej być nie może! Gospodarstwo łowieckie, to miljardowe bogactwo Polski musi być doprowadzone do należytego stanu. Musi być wydana racjonalna ustawa, opra-

*) O Polskim Związku Myśliwych i jego zasługach pomówimy na innem miejscu.

cowane wykonawcze przepisy, a co najważniejsza, muszą być one wykonywane. Nie będzie w Polsce kłusownika, mordującego wbrew naturze karmiącą matkę, nie będzie zdradzieckiego wnykarza lub zdziczałego wyrostka niszczącego drapieżną łapą rodzinne gniazdko niewinnej ptaszyny! I któż tego dokona? My, koledzy myśliwi. Nasamprzód zorganizujmy po powiatach towarzystwa łowieckie. Będą one miały za zadanie hodowlę pożytecznej zwierzyny, opiekę nad nią, czuwanie nad wykonywaniem przepisów łowieckich i racjonalne polowanie. Do towarzystwa powiatowego łowieckiego będzie mógł należeć każdy uczciwy człowiek, przyjęty przez zarząd wybrany na zebraniu organizacyjnem z pośród członków".

Na skutek powyższego artykułu odbyły się dwa zjazdy w sprawie statutu. Obecnie statut został już zatwierdzony przez Ministerstwo spraw wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem rolnictwa. Towarzystwa łowieckie powiatowe i Centrala towarzystw łowieckich na całe państwo — oto schemat organizacyjny przyszłego zjednoczenia myśliwych polskich.

Sprawą tą zajmuje się Komisja łowiecka z wielce zasłużonym dla myślistwa naszego p. A. Wysockim na czele.

Od składu osobistego przyszłej Centrali zależeć będzie czy zdoła ona wypełnić swoje wysoce odpowiedzialne zadanie. Nie potrzeba tam ludzi ubiegających się o tytuły i godności, potrzeba ludzi którzy chcą szczerze i uciążliwie pracować dla dobra umiłowanego myślistwa. A takich ludzi, chwała Bogu, mamy jeszcze w Polsce wielu.

Juljan Ejsmond.

Święci myśliwi.

Bór poważny i tajemniczy, a pełen dziwnych poszumów w swych ciemnych, nieprzejrzanych głębiach. Jakieś prastare opowieści prawi cichy szmer liści, które co dnia wieczorną porą przy pożegnaniu z zachodzącem słońcem, drżą na szczytach drzew, jakby je zdejmowała trwoga przed tą czarną nocą. Przelatujący między konarami wiatr baśniowe wygrywa melodje, szepcą wieczorną modlitwę trawy leśne i dreszcz jakiś przenika w chwili tak uroczystej, lęk ogarnia, gdy ostęp coraz bardziej ciemnieje, aż wreszcie pogrążamy się z ufnością w tej mrocznej przestrzeni, w tym gwarze drzew wiekowych, poczynamy wczuwać się i wmyślać w mowę leśnego mroku, by wnet znaleźć w nim powiernika dla swych dumań.

I wyobraźmy sobie, że wobec tej potęgi przyrody stanął człowiek pierwotny ze swym naiwno-dziecinnym sposobem pojmowania zjawisk świata zewnętrznego. Niezdolny jeszcze do rozumowego wyjaśniania faktów, stwarzał opowieść cudowną... Tajemnicę puszczy leśnej zaklął w kształty wierzeń o bajecznych jej mieszkańcach, demonach i boskich łowcach, władcach leśnej zwierzyny... Wyobrażenia te spotykamy już w zaraniu dziejów kultury. Wierzył w takie nadprzyrodzone istoty dawny Słowianin i cześć im oddawał, na co wyrzekali pierwsi głosiciele wiary Chrystusowej wśród Słowian bez skutku, bo zapatrywania te przetrwały u ludu po dzień dzisiejszy. Chłop słowiański, równie jak ów woj w „Słowie o pułku Igora" wierzy, że czasem w lesie jakiś dziw woła.

*

Grecy i Rzymianie zaludnili las całą rzeszą mitycznych postaci, jak np. Pan i jego towarzysze; szczególnie zaś pięknie uosobił świat starożytny swe wierzenia w osobie bogini Diany, opiekunki łowów i zwierząt leśnych. Towarzyszem jej nieodstępnym był jeleń, zwierzę, które oddawna budziło zachwyt z powodu swej wspaniałej, iście królewskiej postawy. Miasto Efez wybrało go za swe godło i wyobrażało na medalach u stóp Djany, a za tym przykładem poszło wiele miast Azji mniejszej. Wogóle „boski zwierz" od niepamiętnych czasów był przedmiotem legend i baśni, odznaczał się długowiecznością, a Rzymianie nadawali mu przymiotnik „vivax", z powodu nadzwyczajnej jego odporności na wszelkie obrażenia i znawstwa różnych ziół leczniczych. Wyobraźnia ludowa otoczyła tę ozdobę lasów całym cyklem podań usiłujących wyjaśnić jego sposób życia. Średniowieczne „bestjarjusze" powiększyły jeszcze bardziej nawiązywane doń przesądy.

*

Kościół zwalczał z całą stanowczością wszelką wiarę w leśne demony i duchy, a nie mogąc przesądów tych wyrugować, zastępował je nową treścią. Było to konieczne, bo średniowieczny rycerz, goniący całemi dniami z swym myśliwskim orszakiem po dzikiej puszczy, pragnął mieć niejako usankcjonowanie swej zabawy, a zarazem jakby jakiegoś nieznanego towarzysza i druha, pomocnika w posępnych gąszczach drzewnych, szczególnie przy zbyt bliskiem spotkaniu się z grubym zwierzem. I zapewne częściowo na tem też psychologicznem podłożu powstały legendy o je-

---

*) Por. Kalendarz „Słowa Polskiego", Lwów, 1922.

leniu św: Huberta i św. Eustachego, bardzo rozpowszechnione w średniowieczu wśród wielu innych „contes dévots“.

Tekst obu legend jest prawie identyczny. Św. Eustachy, umęczony w Rzymie za cesarza Adrjana, był mężnym i prawym rycerzem, a zwał się przed swem nawróceniem „Placyd“. Gdy się raz na polowaniu sam jeden zapuścił w głąb lasu, spostrzegł na wzgórku stojącego jelenia, a między jego rogami jaśniejący wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, który w te słowa przemówił do niego: „Placydzie! czemu mnie ścigasz? Jestem sam Chrystus i szukam cię oddawna! Wierz we mnie i ochrzcij się; ponieważ byłeś miłosierny i ja dla ciebie chcę być miłosierny“. Posłuszny wezwaniu, ochrzcił się Placidus wraz z żoną i dziećmi, przyjął imię Eustachjusza, a po licznych przygodach poniósł w Rzymie wraz z całą rodziną śmierć męczeńską.

Św. Hubert pochodził ze szlacheckiego rodu w Akwitanji, a nawrócił się pod wpływem podobnego widzenia. Jako wielki miłośnik myślistwa, polował raz w wielki piątek w lesie ardeńskim i wtedy ukazał mu się jeleń z opromienionym światłem krucyfiksem między rogami. Wstąpił więc św. Hubert do stanu duchownego, a umarł w r. 727 jako biskup w Liège.

Legendy zyskały sobie wkrótce wielką popularność, a około postaci tych świętych powstaje niezwykle bogata literatura. Szczególnie zaś żywot św. Eustachego, jako że zawierał w sobie pierwiastki epickie, stał się przedmiotem przeróżnych opracowań i interpretacji, które doskonale ilustrują charakter całej średniowiecznej twórczości.

*

Opowieść o świętym męczenniku powstała w kilka wieków po jego śmierci, zapewne w klasztorze jakimś, który specjalnym darzył go kultem i może pod jego wezwaniem chciał tem liczniejsze gromadzić zastępy pątników.

Poetyczny, pełen awanturniczych przygód żywot uznano wnet godnym rymowanych opracowań, z których pierwsze łacińskie da się odnieść może nawet do VIII wieku.

Ponieważ zaś równocześnie pod wpływem widowisk liturgicznych, czy to pasyjnych, czy to jasełkowych, rozwijają się „miracula“, t. j. misterja o świętych, któremi różne towarzystwa i związki świeckie czciły swych patronów, więc też i bohater cudownej przygody z boskim jeleniem pojawia się na scenie *).

Czy jednak w tych czasach wysokiego już rozwoju smaku i kultury literackiej mogło naiwnie nieudolne misterjum liczyć na powodzenie i zajęcie się niem warstw wyższych, oświeconych? Należy to wykluczyć. Tu też był kres jego dalszego rozwoju. Ale sam motyw legendarny nie przestał być tematem poetyckim; była to jednak już poezja zupełnie innego rodzaju. Podobnie jak dawny repertuar, ustępując miejsca nowym zjawiskom dramatycznym, chronił się do bud jarmarcznych, tak też i strzępy świetnej rycerskiej epopei i podniosłych żywotów świętych skryły się w jarmarcznych straganach w formie ludowych powieści. Zrzuconemi z pańskiego stołu odpadkami rozkoszują się teraz prostaczkowie pod strzechą. Taką książczyną jest też wydana w Tours, bez podania roku, „Cantique de saint Eustache martyr, sur l'air: Où êtes-vous, Birène, mon amour?“

Podobne losy przechodził w literaturze i św. Hubert. I jego legenda dostała się w Acta Sanctorum. Około XI wieku zredagowano ostatecznie „Libellus de conversione S. Huberti comitis, postmodum episcopi Leodiensis“, a także zbiór mirakulów, które przypisują mu cały szereg wyleczeń ze wścieklizny.

Wedle tych opowieści św. Hubert po swym powrocie z Rzymu do Brabancji, otrzymał z nieba cudowną stułę, którą mógł leczyć wściekliznę. Starodawna stuła przechowywana w Luksemburgu, ściąga do dziś jeszcze wielu widzów. Ale święty ten miał jeszcze inny środek leczniczy, a mianowicie złoty klucz, rzekomo zesłany z nieba, którym miano ochraniać psy przed wścieklizną w ten sposób, że się kluczem tym wypalało je na czole. (Gaidoz, La rage et saint Hubert. Paris 1887). I wiele innych takich szczegółów opowiada bezimiennego autora kronika sławnego klasztoru św. Huberta w Ardennach, spisana około r. 1034.

Dzięki sprawnym mnichom klasztorów pod wezwaniem św. Huberta, legenda w coraz to nowe stroiła się szczegóły. Z czasem też przybrała formę ludowego „cantique'u“.

*

Rzecz jednak ciekawa, że o ile św. Eustachy więcej był czczony w średniowieczu, o tyle św. Huberta cześć przetrwała po dni dzisiejsze. On też został powszechnie uznany przez myśliwych za patrona, ku jego czci odprawia się mszę ranną przed polowaniem, a strzelecka uroczystość zowie się świętem św. Huberta; na cześć tego świętego było kilka orderów już w wiekach średnich, najważniejszy zaś z nich założony w r. 1444 przez Gerharda V. ks. Jülichskiego; w r. 1723 hr. Spock założył w Czechach order św. Huberta. W obrazach też figuruje więcej św. Hubert, aniżeli Eustachy. Tradycja cudownego zdarzenia przechowała się też snać żywo w pamięci ludu tyrolskiego i solnogrodzkiego, skoro w wyrobach tamtejszej sztuki ludowej do dziś bardzo często możemy spotkać jelenia z krzyżem między rogami.

Widzenie tych myśliwskich patronów poza mniej lub więcej udolnemi wyrobami ludowemi odbiło się silnem echem wogóle w sztuce. W średniowieczu bowiem literatura i sztuka związane są bardzo ścisłym łańcuchem. I można wprost zauważyć pewien wyraźny paralelizm między temi obu dziedzinami ludzkiej umysłowości, a szczegól-

*) W literaturze starofrancuskiej mamy wiele przeróbek legendy o św. Eustachym, a nie brak także misterjów na ten temat.

nie doskonale da się to zilustrować na przykładzie motywów religijnych. W literaturze zrazu zwykle suche, krótkie opowiadanie o życiu świętego, czy świętej, w sztuce również zrazu zwykłe przedstawienie postaci, a natomiast podobnie, jak na polu literackiem, życie świętego zdobi się w coraz to nowe szczegóły i przygody, podobnie i w sztuce na obrazie tłoczy się coraz to więcej osób, cyzelują się psychiczne pierwiastki, poczyna się rysować tło i sztafaż bogaty, aż wreszcie stłumią samo zdarzenie i wybijają się na plan pierwszy; inscenizacja przygniata akcję właściwą, podobnie jak zwykła legenda zmienia się w pełną przygód epopeję.

Tak też ma się rzecz i z motywem omawianym; od zwykłego figuralnego przedstawienia przechodzi sztuka do opracowania całej legendy, aż wreszcie legenda staje się jedynie dodatkiem do krajobrazu. Pierwsze doskonalsze odtworzenie legendy naszej spotykamy w malarstwie włoskiem u Pisanella (1397 — 1455). Pisanello z Werony, a właściwie Antonio Pisano (nie Vittore, jak dotąd powszechnie twierdzono, por. The National Galery, edit. Leman Hare, London, 1909, T. I, s. 83 — 86), rozpoczyna we Włoszech północnych renesans; choć głównie pracował jako odlewacz medaljonów, zaznaczył się też jako malarz. Już poeci XV wieku chwalili go jako mistrza w traktowaniu krajobrazu i zwierząt, to też miał w zamku w Pawji wykonać scenę myśliwską; kto wie, czy nie pozostaje ona w jakimś związku z „Widzeniem św. Eustachego", znajdującem się obecnie w National Galery. Mimo pewnej niezręczności w modelacji i sztywności, zarówno kompozycja, jak perspektywa, wykazuje już wielkie postępy.

Samą zaś postać św. Eustachego przedstawił Antonio Pollajuolo (1429—1498), obok św. Jakóba i św. Wincentego. Olbrzymie figury świętych, obecnie w Uffizi, bliższe są jednak raczej technice brata Antoniego, Piera; kwestja trudna do rozwiązania, jak i wiele innych, dotyczących odgraniczenia ich twórczości.

Naogół legenda o jeleniu cudownym odbiła się na Południu dość słabem echem, większą wziętością cieszyła się na Północy.

Szczególnie w Lotaryngji legenda była bardzo rozpowszechniona i została wielokrotnie opracowana. Mamy tu 21 kościołów parafialnych, poświęconych św. Hubertowi, a nadto bardzo wielką ilość kapliczek i bractw pod jego wezwaniem. Odpowiednio do tego spotyka się równie bogaty materjał ikonograficzny.

Dr. Adam Fischer.

(Dok. nast.)

Historja o wilku.

(Gawęda myśliwska)

Było to już bardzo dawno, bo przed blizko czterdziestu laty i ci którzy mogli-by potwierdzić prawdę mego opowiadania, zdaje się już wszyscy przenieśli się do wieczności,—ale chcecie—wierzcie, nie chcecie — nie wierzcie, pomimo to opowiem zdarzenie najprawdziwsze, — dodam tylko, że jeszcze z tego względu zasługuje na wiarę, ponieważ trzy lata jak uciekłem przed bolszewikami z Podola i przez cały ten czas nie miałem ani razu strzelby w ręku, więc przestałem być myśliwym, a co zatem idzie i kolorystą, o co nas zwykle najniesłuszniej posądzają.

Owóż w tych odległych czasach na Podolu (w okolicach Hajsyna) było bardzo dużo wilków,— które zimą, gdy zabrakło w lasach sarn, wytępionych prawie doszczętnie przez ówczesnych Nemrodów, mordujących je za przykładem wilków bez względu na płeć i wiek, — zmuszone były przez głód zwrócić swój apetyt na pokrewne, chociaż nie tak pewnie smaczne jak sarny, kozy żydowskie, -- tem łatwiejsze do upolowania, że najczęściej przez swych właścicieli niezamykane na noc, z tą myślą, że przecież jakaś spóźniona podwoda może zatrzymać się na ulicy miasteczka dla odpoczynku i da możność poczciwej kozuni wyciągnąć bezpłatnie trochę siana, — taki bowiem jest praktyczny system przekarmiania swego remanentu przez zimę u synów Izraela.

W tem miasteczku, o którym mowa, zaczęły raptem rozchodzić się słuchy, że giną w jakiś tajemniczy sposób kozy. — Jedni mówili że to złodzieje, inni że wilki są winowajcami. Mnie to wogóle mało interesowało, gdyż choć byłem zapalonym myśliwym, ale przez myśl mi nie przyszło, by zamiast przepędzać wieczory w wesołem towarzystwie i patrzeć w piękne panieńskie oczy, siedzieć na mrozie i czekać by zajrzeć wilkowi w paskudne ślepia.

Aż jednej nocy, wróciwszy do domu koło północy, — czekając na ganku nim zaspany służący drzwi mi otworzy, posłyszałem w miasteczku rozpaczliwe beczenie kozy; skoczyć do pokoju, schwycić wiszącą nad łóżkiem strzelbę i kilka ładunków było dziełem jednej chwili. — Zbiegłem następnie pędem do drogi, na której była grobelka i nizki na rzeczułce mostek, — za nim się

ulokowałem, będąc pewnym, że jeżeli to wilk, tędy tylko ze swą zdobyczą przechodzić będzie.

I rzeczywiście, nie więcej jak w parę minut, zobaczyłem przy cudnem świetle księżyca wilka, idącego z góry truchcikiem i prowadzącego obok siebie trzymaną za kark kozę, która widać już ze strachu beczeć przestała i dreptała przy nim jakby zrezygnowana.

Żal mi się jej zrobiło, aby razem z wilkiem nie została zabitą, zwłaszcza, że szła z mojej strony, — a będąc pewnym swego strzału, gdyż strzelałem rzeczywiście dobrze i z zimną krwią,— gdy wilk wszedł na mostek raptem wyskoczyłem:— zgłupiał na chwilę, lecz natychmiast puściwszy swą ofiarę, rzucił się do ucieczki, ale trafiony na pięć kroków całym nabojem w kark, rozciągnął się na miejscu; a cóż stało się z kozą? Zajęty strzałem do wilka nie spostrzegłem, że ta zamiast uciekać, przytuliła się do mych nóg i tak stała drżąc cała, jakby rozumiejąc, że ratunek jej nie w ucieczce, a w człowieku. Starałem się ją uspokoić i pokazać, że wróg już nie straszny, więc wziąwszy za rożek, podprowadziłem do niego. — Opierała się bardzo, lecz gdym ją siłą podciągnął i postawił na wilku, po chwili jakby zrozumiała, że to już trup i nic jej nie grozi, i raptem, jakby chcąc zemścić się za doznaną krzywdę, wspięła się na tylne nogi, jak to zwykle czynią bijąc się z sobą, i z cała siłą palnęła leżącego wilka rogami, — poczem spokojnie już podreptała drogą do miasteczka.

Wilka podciągnąłem pod ganek z trudem, bo był duży, — a choć psy przez całą noc swem ujadaniem spać nie dawały, ale za to na drugi dzień zostałem chwałą wynagrodzony.

Antoni Terpiłowski.

Właściwości psa.

Pierwszą zaletą, której wymagamy od psa jest piękny zewnętrzny wygląd. Na to składa się: zdrowie, równomierność form, mądry, inteligentny wyraz oczów, żywe usposobienie, harmonijne barwy, oraz czysto utrzymana, pielęgnowana powierzchowność. Ostatnie dwie cechy są kwestją opieki i traktowania, reszta daje się osiągnąć przez umiejętny dobór rodziców. Zwierzę o głupim wyrazie oczów jest bezwzględnie brzydkiem, i słusznie zwrócono już kilkakrotnie w fachowych pismach zagranicznych uwagę, że przy ocenie psów podczas konkursów za mało się kładzie nacisku właśnie na wyraz oczów, który daje pełną gwarancję inteligencji zwierzęcia. Bastardy i potomkowie nieczystego pochodzenia t. zn. rodziców posiadających jakiekolwiek wady, wykazują zazwyczaj brak jednego lub całego szeregu wyżej wspomnianych zalet, które się składają na piękność psa. Z tego też powodu czuwa, się obecnie zagranicą nad racjonalną hodowlą. Jedynie ten sposób zapewnić może hodowli odpowiednią wyżynę a psu posiadaną piękność, która mu nadaje dopiero pełną wartość.

Najznakomitszą ze wszystkich wewnętrznych zalet, tą, która psu torowała drogę do człowieka zapewniając mu trwałe miejsce przy jego boku, jest jego rozum, jego wysoka nadzwyczajna inteligencja, jego dar pojmowania, który przez żadne inne zwierzę nie został osiągnięty. Błędem jest, jeżeli się pewne czyny, wypływające z inteligencji przypisuje wpływom „instynktu“. Instynkt nie jest niczem innem, jak odziedziczone pierwotne przyzwyczajenia, do których u psa należy jeszcze dodać odziedziczenie nauczonych przyzwyczajeń. Inne znów instynkty zostały przez wychowanie zduszone. Żyłka myśliwska jest instynktem przyrodzonym, odziedziczonem przyzwyczajeniem. Jeżeli natomiast młody jeszcze legawiec wystawia wytropione kuropatwy lub zające, zamiast je łapać, jak mu dyktuje pierwotny jego instynkt, wtedy mamy do czynienia z instynktem nabytym przez hodowlę. To samo, jeżeli pies zabitą zwierzynę aportuje zamiast ją pożreć. Wiele psów aportuje i wystawia z potrzeby naturalnej, innym natomiast musi się dopiero przez tresurę odebrać naturalny instynkt. Inteligencję i rozum psa widzi jaskrawo myśliwy przy robocie, zwłaszcza gdy trzyma się metody, zmuszającej psa do nauczenia się bez osobnej tresury. Zadziwiającem jest, jak szybko pies inteligentny pojmuje cel polowania, jak łatwo upatruje chytrość i fortele zwierzyny; zrazu popełnione błędy, jak gonienie kur i zajęcy, wnet odrzuca jako bezcelowe, w krótkim czasie staje się jedynie cząścią swego pana, uważa na każdy jego ruch, w lot poznaje jego życzenia, nieznacznem spojrzeniem go przywołuje, gdy upatrzył zwierzynę, dochodząc przez praktykę do takiej sprawności, jakiej żadną sztuką tresura przyswoić by mu nie mogła i która, z biegiem lat na podstawie zebranych doświadczeń stale wzrasta.

Uczyć się na podstawie doświadczeń jest rzeczą rozumu. Że do tego nietylko psy myśliwskie są zdolne, wie każdy właściciel psa. Każda rasa psa wykazuje niesłychanie wielki zasób inteligencji z wyjątkiem naturalnie tych karzełków pokojowych, zniedołężniałych przez

---

*) Według dzieła T. Bergmillera p. t. „Nasze psy“.

sztuczną hodowlę, u których rozwój intelektualny uledz musiał pod wpływem nienaturalnego zmniejszenia zastojowi. Pies, w rękach rozumnego i znającego duszę psa pana, nauczy się wnet rozumieć go jak przyjaciel i przysparza mu z dnia na dzień, inteligentnem zachowaniem się mnóstwo nowych niespodzianek i naprawdę czasem żałuje się, że pies nie zna języka ludzkiego! Ale przecież niczem innem jak niemą acz łatwo zrozumiałą mową jest, jeżeli pies uderzeniem łapy o coś prosi, dotykaniem nosa na coś zwraca uwagę, przez skomlenie nawet nieznajomych prosi by mu zamknięte drzwi otworzyli. Mógłbym przytoczyć tu tysiące przykładów porozumiewania się psa z ludźmi sposobami nie nauczonemi, lecz wypływającemi z inteligencji. Nie mówię tu też o rozmowie psa z panem podczas polowania, co w niektórych szczegółach jest często rzeczą tresury.

Przykładów d o b r e j p a m i ę c i psa dostarczają nam obserwacje z życia codziennego. Jamnik przypomina sobie jeszcze po miesiącach przejścia jakie miał z lisem lub borsukiem, gdyż znajdując się w blizkości kiedyś wytropionej jamy, natychmiast biegnie do niej. Znamienną przygodę miał pewien myśliwy ze swoim legawcem. Przy polowaniu któregoś dnia nie można było ni dobrocią ni siłą psa nakłonić do posuwania się za panem w pewnym kierunku, pomimo że ten ostatni nie wiedział przyczyny dziwnej bojaźliwości swego towarzysza. To zagadkowe zachowanie się psa powtórzyło się w kilka dni później w tym samym miejscu i wtedy dopiero przypomniał sobie myśliwy, że na tej drodze, której się legawiec wzbraniał przebyć, znajdowało się w roku ubiegłym gniazdo os, które wtedy biednego psa niemiłosiernie pokąsały.

O z d o l n o ś c i p r z y s t o s o w a n i a s i ę świadczą niezliczone przykłady. Najmodniejszym eksperymentem w tym kierunku jest porozumienie się pana ze swoim psem za pomocą telefonu. T. Bergmiller pisze o tem co następuje: „Gdy pierwszy raz słyszałem tę anegdotę, pochodzącą z okolic Frankfurtu, gdzie jeden z moich znajomych zaprosił telefonicznie psa swego na przechadzkę, nie bardzo chciało mi się w to uwierzyć. Lecz później poznałem w Stuttgardzie handlowca, który zwykle wołał swego psa telefonicznie do filji oddalonej o 1½ km. od mieszkania, i to zawsze skutecznie“.

Że psy pamiętają pewne godziny dnia, a nawet pewne dnie w tygodniu (np. niedzielę) w których pewne interesujące je wydarzenia regularnie się powtarzają, dobrze rozróżniają i do nich się stosują, jest ogólnie znanem.

Dalszym dowodem daru przystosowania się psa jest przyjaźń, jaka się nawiązuje w domu pomiędzy nim a kotami, borsukami, jeleniami i inną oswojoną zwierzyną.

P r z y w i ą z a n i e i w i e r n o ś ć połączone z c z u j n o ś c i ą i obroną mienia pana, stanowią dalsze zalety psa, tak znane, które nawet stały się przysłowiowemi; zbytecznem jest przytaczać tu przykłady, wprost rozczulające. Że psy przywiązane do swego pana z najdalszej nawet odległości do niego powracają, jest dowodem ich przywiązania i wierności, ale także dobrego z m y s ł u o r j e n t a c y j n e g o. Wzruszające są sceny, gdy panu zdarza się nieszczęście lub gdy umiera. Przed kilku laty czytałem w gazecie zagranicznej rzecz następującą: Pewnego pana śmiertelnie przejechała fura. Leżącego trupa pies, który mu towarzyszył łapał za rękaw, to z lewej, to znów z prawej strony, i gdy to okazało się bezskutecznem wlazł pod trupa i dźwigając się, starał się go podnieść. Usiłowania te powtarzał wierny pies skomląc aż do zupełnego zmęczenia, a w końcu widząc bezskuteczność tych zabiegów, siadł obok trupa, i pilnował go. — Jedynie żonie pana pozwolił zbliżyć się do zwłok.

Gazeta myśliwska „Deutsche Jägerzeitung“ podaje następującą nader ciekawą historję:

„Że psy w niektórych wypadkach posiadają dobrze wyrobione u c z u c i e w d z i ę c z n o ś c i, dowiedziałem się pewnego wieczora z następującego wydarzenia. W szerokim ogrodzonym dziedzińcu, do którego wiodła otwarta brama z sztab żelaznych, znajdował się dół na odpadki. — Tu wyszukiwały sobie stale psy kości i inne odpadki. Pewnego wieczora zamknięto przypadkowo młodego legawca w tym podwórku. Pomiędzy sztabami żelaznemi bramy o wysokości około 3 m. znajdowały się sztaby mniejsze na 1½ m. wysokie. Pies usiłował więc przeskoczyć tę bramę, w miejscu krótszych sztab, lecz zawadził tylną łapą o hak żelazny i zawisł na bramie tak, że przedniemi łapami dotykał ziemi. Usiłował się z tej pozycji uwolnić, lecz hak wbił się w łapę. Przyszedłem i usłyszałem żałosne skomlenie. Zauważyłem w słabym świetle księżyca opłakane położenie zwierzęcia. Zrazu wołałem na psa, zbliżyłem się ostrożnie, głaskałem głowę, potem chwyciłem, i delikatnie unosząc uwolniłem biedaka. — Pod bramą została znaczna kałuża krwi, a rana sprawiała zwierzęciu widocznie wielki ból. Gdy go puściłem, odszedł kilka kroków, potem wrócił i lizał mi rękę. Tem zachowaniem psa byłem zdumiony i dziś jeszcze przyznać muszę temu zwierzęciu zdolność uczucia wdzięczności. Nie odmawiajmy duszy zwierzętom, jako naszym współbraciom. I one są zdolne do szlachetnych porywów duszy — często więcej niż niektórzy ludzie“

P. Zagórowski.

Ku ochronie zwierzostanu.

Jedna z najbardziej zaniedbanych gałęzi gospodarczych naszego kraju, jest to brak absolutny opieki nad zwierzostanem. Wprawdzie dopiero się rozbudowujemy, wszystko musimy poprawiać, doskonalić, albo zaczynać od fundamentów. Niemamy jeszcze odpowiedniej ilości szkół początkowych i zawodowych, musimy jeszcze myśleć o poprawie dróg naszych i lepszej komunikacji; o rozwinięciu naszego rodzimego przemysłu i handlu i t. d. i t. d. Ale o tem wszystkiem wiele się pisze i mówi i zawsze się coś działa, tymczasem zaś o wytworzeniu jakiejbądź opieki nad naszym zwierzostanem, mówi się mało i w tym kierunku nie robi się absolutnie nic, prócz narzekania.

A starzy myśliwi, to już tylko machają rękami, mówiąc z rozpaczą: przepadło. I rzeczywiście jest źle z naszym zwierzostanem, ale niech młodzi chociaż nie tracą nadziei i jako hodowcy myśliwi wiążą się w koła hodowlano-ochronne. Przy okupacji niemieckiej, w przeciągu dwóch lat, zające się sypały, jak groch z worka, więc znaczyłoby, że przy dobrej inicjatywie i przy wydaniu odpowiednich praw zwierzostan w naszym kraju, można poprawić. A teraz jak temu wszystkiemu zaradzić?

— Pamiętamy chyba wszyscy, że gdy został podniesiony do dość wysokiej skali podatek od psów za okupacji niemieckiej, w naszych wioskach powstał formalny „pogrom kundli“. Wieśniak nasz, ogromnie drażliwy na punkcie podatkowym, większą część swoich burków i łysków powywieszał, lub kołkami powybijał.

Weźmy teraz dla przykładu pierwszą lepszą wioskę naszą. Każda nasza wioska, składająca się z sześćdziesięciu gospodarstw, trzyma przynajmniej dzisiaj czterdzieści psów (nieliczac kotów), które są ogromną plagą naszego zwierzostanu. Albowiem każdy taki kundel, pożera przez wiosnę i lato, przeciętnie przynajmniej pięć zajęcy. Wynosi to razem 200 sztuk. Pozatem do każdego domu gospodarczego, t. j. do sześćdziesięciu chałup, przynoszą wyrostki przez wiosnę i lato przeciętnie po 2 małe zajączki, które padają ofiarą najczęściej kotów, lub przy podrośnięciu idą do garnka na chudy barszcz. Zsumujmy teraz tę liczbę z poprzednią; wyniesie to łącznie 320 sztuk. Czy może to jest przesadą? Bynajmniej! Mieszkam na wsi od urodzenia i rok rocznie z tym faktem się spotykam. A potem jeszcze wnyki przez lato w życie i zimą na dużym śniegu, na ścieżkach zajęczych. Wreszcie bezlitosne wystrzeliwanie zajęcy przez kłusowników, kiedy tylko się da, t. j. przez cały rok. Znam naprzykład kłusownika, który przy chrzcie swojego dziecka, uraczył swoich kumów i gości siedmioma zającami w mies. maju. A kiedy jeden z policjantów odebrał mu zająca, podczas żniw, w sierpniu, zatrzymując go z bronią w ręku, szkodnik zapłacił całe 100 marek kary, z czego sam się śmiał do rozpuku. Ażeby temu zaradzić i zawiązać jakąś opiekę nad naszym opłakanym zwierzostanem, to w pierwszym rzędzie, należałoby nałożyć jaknajprędzej wysoki podatek od psów, przynajmniej 60.000 tys. mk. co będzie radykalnym środkiem, do zredukowania psów, do liczby normalnej. Psy łańcuchowe podlegałyby, dajmy na to 3-ej części wymienionego wyżej podatku. Włóczące się psy i koty samopas należy wystrzeliwać. Następnie, na nieprawidłowe myślistwo, w szczególności w czasie ochronnym, kara winna być przynajmniej miesięczna, bezwzględnego aresztu, oprócz kosztów sądowych, dla właściciela zwierzyny. Potem zaś, ażeby było zupełnie wystarczające, do ukarania kłusownika, kiedy go się widzi polującego w czasie ochronnym. Wreszcie wybieranie z gniazd piskląt i jaj, winno być jaknajsurowiej ścigane. I w tym wypadku, niechby było wystarczające, jeżeli ktoś wiarogodny doniesie o podobnym fakcie odpowiedniej władzy. Kary powinny być administracyjne i szybkie. I to trzeba o tem prędko pomyśleć i działać, gdyż liczba psów wciąż się powiększa i kłusowników mamy coraz więcej, chociaż zwierzyny coraz mniej, a kuropatw prawie że już niema. Wysokie ceny za skórki ze zwierząt, zawsze będą nęciły każdego kłusownika. Naprzykład w tym czasie żydzi płacą za skórki zajęcze po 12-cie tys. mk., a mięso zostaje do spożycia, więc amatorów nie brak. Sądzę więc że i Wysoki Sejm nasz, nie będzie tym prawom przeciwny, gdyż inaczej zostaniemy daleko w tyle w powszechnej cywilizacji świata.

Mieczysław Chomiczewski.

Pies myśliwski.

(Dalszy ciąg)

Nieposlednią tutaj także rolę odegrał napewno dobór sztuczny, bądź metodyczny bądź bezwiedny nawet—pierwszy w świadomem łączeniu osobników o cechach pożądanych, drugi w nieświadomym wyborze do rozpłodu sztuk li tylko najlepszych. Krom tego hodowla wywarła również wielki wpływ na przemiany form dzikich zupełnie nawet bez interwencji człowieka, poprostu jedynie dzięki zmianie warunków bytu.

Zwisanie uszu.

Niezmiernie charakterystyczną w tym względzie jest kwestja zwisania ucha u wielu odmian domowych, które pochodzą od form dzikich o uszach stojących. Niewątpliwie gra tu rolę osłabienie mięśnia usznego, które można sobie wytłumaczyć brakiem ćwiczenia, wynikającym z odmiennych stosunków życiowych. Dziki protoplasta psa zewsząd narażony na niebezpieczeństwo, nasłuchiwał ciągle, „nadstawiał uszu“, zawsze przygotowany na spotkanie z wrogiem. Udomowiony i „uspokojony“ zarazem mógł nareszcie stałego czuwania zaprzestać, dzięki czemu delikatny mięsień osłabł i ucho zwisło. Nie jest to jednak regułą bez wyjątku, gdyż obok psów zwisłouchych posiadamy psy o uszach stojących, bynajmniej nie młodszej kultury. I zdaje się nie ma na ten zarzut odpowiedzi, oprócz tej chyba jedynie, że psy o uszach stojących pochodzą od przodków, którzy posiadali mięsień uszny wyjątkowo silny—tak, iż żadne wpływy nie mogły go osłabić. Oprócz tego nasuwa mi się jeszcze jedno spostrzeżenie, że psy stosunkowo mało mieszane, np. szpic, chart dawniejszy i inne są zawsze bardziej zbliżone odnośnie uszów do form pierwotnych — co jest zupełnie naturalne, gdyż częste krzyżówki i dobór w tym kierunku musiały stanowczo na zwiśnięcie uszów wpłynąć. Niemniej dużą rolę odegrały w kwestji zróżnicowania się ras psów wpływy wynikające z prawa zmienności, gdzie szczególniej aklimatyzacja jest ważną. Niema określonych dowodów, podkreślających wpływ klimatu na rozwój gatunków, jednak Darwin w dziele swem „O powstawaniu gatunków“ przypuszcza, „że działanie różnych warunków takich, jak klimat, pożywienie i t. p. było w ciągu wieków większe, niż tego jesteśmy w stanie dowieść za pomocą faktów“. Zdolność do aklimatyzacji jest wrodzoną zwierzętom szczególniej domowym, a to dzięki temu zapewne, że od najodleglejszych czasów różne krwie w ich żyłach płyną. Tak więc nic dziwnego, że pies domowy doskonale się przystosował do życia w śniegowych pustyniach pobrzeża Oceanu Lodowatego, jak również zaklimatyzował się w najgorętszych strefach Południa — jest bowiem b. prawdopodobnem, że różne rasy psów powstały, między innemi, ze skrzyżowania podbiegunowego wilka z wilkiem podzwrotnikowym. — Niewątpliwie przystosowanie do warunków klimatycznych wpłynęło w wielkiej mierze na różnorodne uwłosienie psów naszych, dość, że wyraziło się ono ostatecznie w trzech możliwych formach: krótkiej, długiej i ostrej szerści.

Najdokładniejsze dowody dałaby tutaj prosta obserwacja, jakby się np. zachowały zwierzęta podzwrotnikowe, przeniesione w okolice bieguna; niestety jednak dla pojedyńczego człowieka jest ona niemożliwą ze względu na to, że zmiany bądź co bądź poważne w tak krótkim czasie, jakim jest życie ludzkie, nie występują. Tem niemniej obserwacje tego rodzaju są prowadzone, że się tak wyrażę — historycznie, i sądzę, że w granicach małych nieścisłości i błędów mogą być przyjęte. Ciekawą tutaj także jest sprawa występującego u psów domowych białego barwnika szerści, który spotykamy wyłącznie u zwierząt dzikich stref podbiegunowych. Istnienie tego barwnika u psów domowych może być tłumaczone, bądź przez problematyczny wpływ białych praprzodków psów eskimoskich, bądź jako cecha nabyta przez hodowlę, zwłaszcza, że przeważnie barwnik ten występuje w formie łat, jako graniastość w miejscach pokrytych włosem ciemnym. Jaki jest jednak stosunek krwi do barwnika zdaje się nie wiele o tem wiemy i — z drugiej strony dlaczego te stosunki nie występują u zwierząt dzikich — a wyłącznie udomowionych — także niewiadomo. Jest np. również bardzo charakterystycznem zjawisko, że psy podpalane posiadają z nielicznemi wyjątkami centki koloru podpalania nad oczami, które to cechy z niezwykłą uporczywością się dziedziczą. Ponieważ zaś, jak Darwin przynajmniej twierdzi, żaden z dzikich gatunków rodziny psów podobnych oznak maści nie posiadał — są przeto cechą nabytą i doskonale ustaloną. Ale, jak i dzięki czemu tego rodzaju zjawisko powstało — trudno wytłómaczyć. W każdym bądź razie centki nad oczami, jak również graniastość, a także albinizm — są dowodami starej kultury zwierzęcia oraz długotrwałego kontaktu jego z człowiekiem. Zdaję sobie sprawę, że nie wyczerpałem jeszcze bynajmniej wszystkich możliwych wpływów, jakie oddziaływały przy rozwoju psa domowego — z jednej jednak strony nie pozwala mi na to szczupły zakres niniejszej pracy — z drugiej zaś strony poruszę sprawę tę jeszcze niejednokrotnie, przy omawianiu powstania poszczególnych ras współczesnych nam psów myśliwskich. Ras tych jest wielka mnogość — i moż-

na ją sobie wytłómaczyć, opierając się na wszystkiem powiedzianem wyżej. Niemałej wagi będzie wzgląd, że rasy psów naszych nie były hodowane przez ludy barbarzyńskie w tej formie, jaką dziś przedstawiają charty, ogary, wyżły i t. d., znaczy, że są one wynikiem hodowli dni dzisiejszych, czyli produktem cywilizacji. Badając więc rasy psów myśliwskich współczesnych, musimy się zasadniczo przenieść z czasów zamierzchłej przeszłości do czasów mniej od nas odległych, zdając sobie naturalnie sprawę z początkowego, prahistorycznego pochodzenia psów naszych.

Pochodzenie psów myśliwskich w szczególności.

Do psów myśliwskich współczesnych zalicza się: charty, gończe (ogary), wyżły retreevery, spaniele, jamniki, oraz terriery.

Postaram się choć w ogólnym zarysie psy te scharakteryzować, zwracając uwagę na ich powstanie historyczne oraz cechy swoiste.

Omówię tu rasy, w mojem pojęciu najważniejsze.

Chart w ogólności.

Najbardziej ze wszystkich ras, nietylko psów myśliwskich, ale także psów w ogólności, wyróżnia się chart, od którego też zaczynę przegląd niniejszy. Pies ten, stanowiący zupełnie odrębną i mało zróżnicowaną grupę, pojawił się w Europie stosunkowo późno, gdy, jak podaje Bogdanow, grecki pisarz Ksenofont (około 355 r. przed N. Chr.), opisując polowania, nic jeszcze o chartach nie wspomina. Późniejszy Arrian (około 138 po N. Chr.) wzmiankuje o jakichś chartach galijskich, o których jednak nic niewiadomo. W Afryce zaś był wykryty chart z czasów znacznie odleglejszych, w formie już udomowionej, gdy człowiek w Europie posiadał zaledwie szpica torfowego. (C. f. palustris, Rütimeyer). Na tem, jak również na badaniach kraniologicznych opiera się Keller, wyprowadzając rodowód charta naszego w ogólności — od wilka abisyńskiego (C. simensis).

Dochodzenia Kellera w tej dziedzinie dały wyniki nadspodziewane, okazało się bowiem, że czaszka charta i odpowiadającego mu wilka niemal we wszystkich detalach są do siebie podobne. Prócz tego sposób życia i budowa tego wilka odpowiada warunkom, stawianym dobremu chartowi.

Wilk sudański.

Wilk sudański, mianowicie w stanie dzikości swojej, polował stadami na wszelkiego rodzaju szybkonożnego zwierza — stąd jego wielka lekkość i przystosowanie do szybkiego biegu. Dobre kąty i wymiary kości zadu i tylnych kończyn, przypuszczalnie mocne, sprężyste mięśnie, wąska i dość głęboka klatka piersiowa, oraz śpiczasty pysk pozwalały mu się posuwać z nadzwyczajną szybkością naprzód. Ciemno-piaskowo bura maść była doskonale przystosowana do tła Sudańskiego, spalonego przez słońce — stepowego krajobrazu. Maść jest też dość silnym dowodem, przemawiającym na korzyść twierdzenia Kellera, gdyż, jak to później zobaczymy, wszystkie prymitywniejsze typy chartów posiadają barwę szerści bardzo do niej zbliżoną. Oswojenie charta datuje się, jak Keller sądzi z malowideł egipskich, około 2000 — 1500 lat przed N. Chr. Możemy, według niego, na tych malowidłach śledzić nawet zmiany, jakie zachodziły pod wpływem udomowienia. Więc najstarsze rysunki przedstawiają jeszcze charta ze stojącemi uszami, podczas gdy na późniejszych uszy są przedstawiane coraz bardziej zwisłe; tak samo w ogólnej linji ciała zauważamy ciągłe ewolucje, zbliżające kształty charta do formy dzisiejszej. Chart egipski był jeszcze bardzo do wilka podobny. Przyglądając się najdawniejszym w tym względzie wizerunkom egipskim, zauważamy charakterystycznie stojące uszy, małą jeszcze wtedy głębokość klatki piersiowej, długi puszysty, szablasty ogon. Stopniowo ogon zaczyna się zakręcać do góry, uszy nabierają tendencji do zwisania. Wszystkie te dane wskazywałyby prawie z całą pewnością, iż chart pochodzi w prostej linji od wilka abisyńskiego, to znaczy jest pochodzenia afrykańskiego. Na to zgadzają się prawie wszyscy badacze genealogji charta. Nie znaczy to jednak bynajmniej wcale, aby współczesne nam charty miały być również potomkami w prostej linji wilka abisyńskiego. Jak słusznie bowiem twierdzi August Sztolcman „czystych bezpośrednich potomków jakiegokolwiek gatunku, czy odmiany psów dzikich, niema i być nie może. Wszystkie obecne rasy psów są produktem krzyżowań. Pierwotne charty także musiały ulec krzyżowaniu z innemi, już oswojonemi psami, ale przez dobór nietylko nie zatraciły swej lekkiej budowy, ale jeszcze lekkość tę spotęgowały do możliwych granic". Charty początkowo z Afryki dostały się do Azji, skąd do Europy przywędrowały z ludami azjatyckiemi.

Ibiza.

Również jest możliwem, że do Europy charty przedostały się przez wyspy Balearskie, leżące blizko Hiszpanji, gdzie pozostawiły przejściową formę t. zw. po hiszpańsku (perro ibizenco), ponieważ pochodzi ona z wyspy Ibiza, dokąd ją jakoby zawieźli kartagińczycy. Chart ten jest zapewne pokrewny świeżo jakoby odkrytemu chartowi sudańskiemu, który miał powstać drogą krzyżówki „sloughi" z psami ostrouchymi. Na tę krzyżówkę wskazuje niedostateczna suchość głowy, charakterystyczne uszy, wreszcie maść biała w żółte łaty. Zasadniczo rozróżniamy obecnie dwie grupy chartów: 1) z uszami niewielkiemi, stojącemi lub odrzuconemi w tył, rozpowszechnioną w północnej Afryce, po całej Europie i w zachodnich stepach Azji i 2) o uszach długich i obwisłych, spotykaną w Persji, u Turkmenów, na Kaukazie i na Krymie.

Polowanie z chartami odbywa się w dwojaki sposób — albo przez szczucie, kiedy się szczuje chartem z konia, albo przy pomocy psów gończych, których zadaniem jest wypłoszyć zwierzy-

nę z kniei, aby potem mogła być przez charta na równinie wzięta. Sposób ten jest praktykowany w Rosji. Wogóle polowanie z chartami może się odbywać tylko na niekulturalnych obszarach, jest ono przeto w odwrotnym stosunku do kultury rolnej i łowieckiej kraju. Obecnie ono prawie już zanika i niezadługo pewno przejdzie do tradycji.

Perskie „Tazi".

Najtypowszemi przedstawicielami grupy chartów długouchych azjatyckich są charty perskie, zwane w języku miejscowym „Tazi". Charty te odznaczają się wielką szybkością i względną wytrzymałością; używane bywają do polowania na mniejsze gatunki antylop. Są maści jednostajnej, czarnej lub płowej. Uszy mają b. długie i zwieszone, porośnięte długim, lekko falistym włosem, również ogon posiada piękne pióro. Zresztą szerść jest krótka. Bardzo zbliżone do chartów perskich są charty afganistańskie, nieco masywniejsze, niekiedy podpalane; kaukazkie o szerści długiej, jedwabistej, wreszcie krymskie nieco drobniejsze, jednak bardzo, uprzednio wymienione rasy przypominające. Z grupy chartów krótkouchych afrykańskich wymienimy charta „sloughi". Jest to rasa niezmiernie czysta i szlachetna, gdyż Arabowie i Beduini mają dla swych chartów kult równie wielki, jak i dla koni. Tak, że dobrego charta sloughi jest równie trudno kupić, jak dobrego konia arabskiego. Hodowcy psów sloughi dokładają wszystkich starań, aby rasa była pierwszorzędnej jakości. Używane są te psy do polowania na antylopy i doskonale się z zadania wywiązują. Podobne są do chartów angielskich; nie posiadają tylko tak skończonej linji, jak tamte. Uszy mają krótkie, półstojące, w tył zarzucone, ogon długi, cienki, opuszczony na dół, szerść krótką, gęstą i delikatną o jednolitej barwie wszystkich odcieni płowych, poząwszy od koloru mlecznej kawy, aż do sarniastego. Sloughi bywają też często moręgowate. Z pośród chartów nieeuropejskich istnieją jeszcze charty krótkouche azjatyckie, spotykane u koczujących kirgizów, podobne do arabskich, tylko mniej szlachetne, nie tak rącze i szerści nieco dłuższej i ostrzejszej, barwy ciemno-płowej lub brudno-czarnej. Podobna odmiana, spotykana u tatarów azjatyckich, posiada włos długi i bywa niekiedy maści białej w brunatne lub płowe łaty.

Z kolei rzeczy przechodzimy do ras chartów europejskich.

W zależności od rozmaitych przystosowań rasy, te różnie się wykształciły, chociaż ostateczne usiłowania w kierunku rozwoju charta muszą prowadzić do wyraźnego celu: m a x i m u m s z y b k o ś c i i c h w y t n o ś c i.

(C. d. n.) *Jan Grabowski.*

OD REDAKCJI
„Przeglądu Myśliwskiego"

Z dniem 1 lipca

„Przegląd Myśliwski" i „Łowiectwo Polskie"

łączą się i będą wychodzić nadal pod wspólnym tytułem:

„Przegląd Myśliwski. — Łowiectwo Polskie"

pod naczelną redakcją **Juljana Ejsmonda.**

W skład komitetu redakcyjnego zjednoczonych pism łowieckich wejdzie: gen. **Bronisław Grąbczewski, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak** i **dr. Marjan Sobolewski.**

№ 12 „Przeglądu Myśliwskiego"

będzie jednocześnie pierwszym numerem obu połączonych pism myśliwskich.

Numer pojedynczy — **2000** mk. Prenumerata miesięczna (z odsyłaniem do domu) — **4500** mk.; kwartalna — **13.500** mk.
Dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego" 50% zniżki.

Cena ogłoszeń strona — **600 000** mk.; 1/2 str. — **300.000** mk; 1/4 str. — **150.000** mk.; 1/8 str. — **75.000** mk.

Druk. Spółka Wydawnicza Powszechna, Szpitalna Nr. 1.